

Siedlce, dnia 5 grudnia 1993 roku

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Naprawdę po raz ostatni przygotowuję list wspólny skierowany do Przyjaciół Misji Oblackiej na Madagaskarze, ponieważ straciłem tytuł misjonarza. Jednak uważam za swój obowiązek podziękować za pamięć, modlitwy i dary otrzymywane przez ponad 12 lat osobiście lub za pośrednictwem Prokury Misyjnej w Poznaniu i przez pocztę. Decyzja opuszczenia Madagaskaru nie była łatwa i nie została powzięta nagle. Uważam, że należy wykorzystać znajomość języka i zwyczajów, skoro trzeba było poświęcić na to kilka lat. I to przekonanie było powodem, że przez trzy lata z nadzieją czekałem na rozwiązanie pewnych problemów, które może łatwiej będzie rozwiązać po moim wyjeździe. Powodem nie była choroba. Klimat, mieszkanie, zaopatrzenie i warunki pracy też były lepsze, niż gdziekolwiek przedtem. Ale nie zaginę pomoce przywiezione z Polski, Niemiec, Austrii i Francji, a także moje maszynopisy i wszystkie aparaty będą służyły Oblatom. W dniu 8 lutego nadałem 20 kg bagażu i wsiadłem do samolotu przy temperaturze +27°C. Następnego ranka w Paryżu było już +1°C. Nie zawiedli mnie współbracia przewożąc samochodem z lotniska do domu, gdzie otrzymałem trochę ciepłej bielizny. Przez tydzień odwiedzałem po raz ostatni moich Dobroczyńców we Francji i w dniu 17 lutego w Poznaniu uczyłem się chodzić po śniegu, którego nie widziałem przez 13 lat.

Przez 10 dni zdołałem odnaleźć moją czarną sutannę i otrzymawszy nieco więcej ciepłego ubrania pojechałem do dużej wspólnoty zakonnej w Lublińcu, aby przez Wielki Post wejść w pracę duszpasterską w Polsce. Niestety, już drugiej nocy zbudził mnie telefon i nazajutrz - bez pożegnania - pojechałem, aby przez trzy miesiące „udawać” proboszcza. Nie chciałem podawać adresu tej małej parafii bez kościelnego, bez grabarza, bez organisty. Poza obowiązkami „służbowymi” w kościele i w biurze parafialnym sam gotowałem i paliłem w piecu centralnego ogrzewania. Korzystałem z całego uposażenia chorego księdza proboszcza. Przez te trzy miesiące spotykałem się zawsze z życzliwością, pomocą i zrozumieniem Parafian. W czasie sobotniego sprzątania kościoła moja lodówka też sama się napełniała, więc do miejscowych sklepów rzadko chodziłem. Dzieci w kościele i w szkole (6 lekcji w tygodniu) też były miłe, chociaż po raz pierwszy nie potrafiłem odpowiedzieć na ich pytania: jakie danie najbardziej mi smakuje? ulubiony samochód? Z innymi pytaniami nie miałem problemów, ponieważ dotyczyły dziedziny teologii albo misji. Kasetę z Madagaskaru oglądano także podczas lekcji geografii. Dzieci i młodzież też interesowali się pracami w parafii: przy Grobie Pańskim, przygotowaniu procesji, starsi usunęli fundamenty starego kościoła przed pierwszą wokół nowego kościoła Wielkanocną Procesją, wywieźli śmieci z cmentarza...

W dniu 30 maja ksiądz delegat z Kurii Łowickiej zaskoczył parafian przedstawiając mego następcę (na jeden miesiąc), ja zaskoczony nie byłem, więc po obiedzie zabrałem spakowane rano dwie torby i wyjechałem. O jednym warto napisać: mieszkańcy każdej wioski przynajmniej raz zamówili Mszę Świętą „o zdrowie i powrót do parafii Księdza Proboszcza”.

Jeszcze przez miesiąc byłem „włóczęgą”. Dopiero dnia 1 lipca zamieszkałem w parafii Św. Teresy w Siedlcach, gdzie próbuję pomagać w duszpasterstwie. Uczę się pisać na otrzymanej w Paryżu maszynie, więc mogę już odpowiedzieć na trzydziestkę listów wysłanych do mnie na Madagaskar, które doszły do mnie przez Poznań. Ten list wysłałem do (prawie) wszystkich moich Korespondentów jednocześnie informując, że nie przerwę wymiany listów z tymi osobami, które tego pragną pomimo tego, że nie jestem na Madagaskarze. Chciałbym nadal czytać o ciekawych zdarzeniach z życia, zwłaszcza z działu „o bezpośredniej ingerencji Pana Boga w prywatne życie człowieka”, o ciekawostkach świadczących o ludzkiej dobroci, a także dowcipy i zagadki figlarne, ale pod warunkiem, że nadają się do włączenia do kazań, katechezy lub na "pogodny wieczór". Warunki korespondencji z dziećmi i „młodszą młodzieżą” są następujące: przesyłanie odpowiedzi na moje pytania z uzasadnieniem (dlaczego tak? dlaczego nie?) oraz nieukrywanie moich listów przed kolegami, Katechetami, a przede wszystkim Rodzicami. Pisanie w imieniu

grupy sprawi mi radość. Ucząca się młodzież nie pracuje, a więc musi szanować pieniądze zarobione przez Rodziców. Ja też chciałbym nie wydawać pieniędzy na znaczki i koperty dla takich leniuchów lub tchórzy, którzy moich listów nie czytają, a wstydzą się sami przerwać korespondencję. Piszcie podobne do zamieszczonych niżej przykładów.

1. Sobota przed Pierwszą Komunią Świętą. Dwunastoletnia siostra jednej ze szczęśliwych przynosi kwiaty do ołtarza. Pytam ją, czy ona też ma jutro Komunię? Zaskoczona odpowiedziała głosem pełnym oburzenia: „Co?! Ja już jestem za stara!” A jej mina była naprawdę urocza. Dopiero po chwili zrozumiała moją złośliwość. Tak, złośliwy ksiądz nie powinien pozostawać zbyt długo w tej samej parafii. Na szczęście odszedłem po tygodniu. Nie okazywała żalu do mnie, chociaż przez cały tydzień okazywała mi zakłopotany uśmiezek.

2. Telewizyjny WYWIAD. Piętnastoletnia siostra Neoprezbitera na ekranie odpowiada: „Czy Brat Ci dokuczał”? - „Nie, nigdy”. ‘A za warkocze Cię nie ciągnął’? - „Ja nigdy nie miałam warkoczy” - odpowiedziała rozpromieniona. Ona była tak radosna, że aż niezdolna do przypomnienia sobie czegokolwiek przykrego. A szkoda, że nie została zapytana inaczej, na przykład: „W jaki sposób dokuczałaś Bratu”? A może ona była tak przewidująca i dlatego nie nosiła warkoczy? To bardzo prawdopodobne.

3. Trzy dni po zakończeniu Rekolekcji Wielkopostnych pytam trzynastolatka o wrażenia: „Ojciec Rekolekcionista pomylił się trzy razy w czytaniu Ewangelii”. To było najważniejsze, co zapamiętał. To jest godne powtarzania. Dowód, że ksiądz jest człowiekiem i też się myli. Nawet Ojciec Rekolekcionista.

4. W drodze powrotnej z Madagaskaru samolot wylądował na Seszelach. Skorzystałem z możliwości rozprostowania nóg, bo do Paryża pozostało jeszcze 9 godzin 20 minut bez lądowania. W poczekalni dworca lotniczego nowa załoga naszego samolotu otrzymywała ostatnie instrukcje. Wszyscy wydali mi się smutki, zmęczeni, starzy. Pomyślałem, że z taką załogą nie będzie przyjemnie lecieć. Przez godzinę spacerowałem między ławkami i stolikami w poczekalni, zanim nie przygotowano naszego samoloty do odlotu. A kiedy wracałem do samolotu, witała mnie już znana mi załoga: z uśmiechem, radosna, odmłodzona, byli bardzo mili. Pomyślałem wtedy, że ten uśmiech należy do ich obowiązków, A Ty, Drogi Czytelniku, ile razy na dzień uśmiechasz się do swoich domowników pomimo tego, że nie otrzymujesz pieniędzy? Bo wtedy też ładniej wyglądasz, a z Tobą innym jest przyjemniej, bo uśmiech jest strasznie zaraźliwy, sprawdź.

5. Pawełek i Piotruś zaprzyjaźnili się w przedszkolu i ta przyjaźń przetrwała kilkadziesiąt lat wciąż się pogłębiając. Piotr został lekarzem, a Paweł księdzem. Pewnego razu ksiądz Paweł zachorował i miał go operować doktor Piotr.

- Ale, Piotrusiu, ja się bardzo boję - mówił ksiądz Paweł.

- Pawełku - tłumaczył cierpliwie doktor Piotr - operacja na wyrostek, to tylko taki mały zabieg, który ja wykonuję kilka razy w każdym tygodniu. I nic cię nie będzie bolało. Najpierw zobaczysz wielkie koła, które będą wirowały i będą się zmniejszały, aż staną się całkiem malutkie. A potem odwrotnie: koła najpierw będą malutkie będą rosły, a gdy staną się znów wielkie, to będzie znaczyło, że już jest po wszystkim. I będę przy tobie, gdy się przebudzisz po operacji.

Ksiądz Paweł się uspokoił. Leżąc na stole operacyjnym ujrzał wirujące wielkie koła, które się zmniejszyły, a po pewnym czasie znów maleńkie kółka rosły, aż stały się ogromne. I wtedy ksiądz Paweł spokojnie zapytał:

- Piotrusiu, to już?

W odpowiedzi usłyszał tubalny głos starca:

- Tylko bez poufałości!

6. W 1984 roku węgierskiego księdza jego parafianin prosił o ochrzczanie swego dziecka. Ksiądz odmówił, ponieważ jego ojciec od kilku lat nie był ani razu w kościele, starsze dzieci nie chodziły ani na Mszę Świętą, ani na katechezę i nie było żadnej nadziei, że ten człowiek w najbliższym czasie powróci do praktyk religijnych: brak mu było odwagi, bo co powiedzieliby ludzie, gdyby nagle zobaczyli go modlącego się podczas Mszy Świętej i to po raz pierwszy od wielu lat? W tym czasie węgierski ksiądz postanowił mnie odwiedzić podczas urlopu w Polsce i

ja wysłałem telegram podając datę i miejsce naszego spotkania. Telegram przyszedł na pocztę w niedzielę o godzinie 9,45. Do obowiązków służbowych tego publicznego grzesznika należało doręczać telegramy, ale w niedzielę nie pracował i na poczcie był przypadkowo. Pomimo tego postanowił usłużyć proboszczowi, więc wziął druk i poszedł na drugą stronę ulicy do mieszkania księdza proboszcza. Ten jednak przygotowywał się do Mszy Świętej i był już w kościele, dokładniej w zakrystii, do której prowadziło tylko jedno wejście i wyjście: przez kościół. I tam poszedł listonosz. Ksiądz, który już zaczął się ubierać do Mszy Świętej, wziął telegram, pokwitował i podziękował, ale listonosz musiałby wyjść z zakrystii i przemaszerować przez środek kościoła pomiędzy znajomymi. Wstydził się też i tego, więc czekał do końca Mszy Świętej w drzwiach zakrystii, nawet nie zauważył, jak przyklęknął razem z ministrantami i w ten sposób wciągnął się do uczestniczenia w niedzielnej modlitwie. Nie trwało długo, kiedy ksiądz proboszcz nie miał problemów z ochrzczeniem jego dziecka, ku radości rodzin jego i jego żony. Bóg potrafił posłużyć się telegramem, aby temu człowiekowi pomóc w powrocie do praktyk religijnych.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

I tak skończyła się moja misja na Madagaskarze.

* * * * *

TO JUŻ NAPRAWDĘ
KONIEC

i

